



NIE SAMYM CHLEBEM...

Biuletyn Okolicznościowy
Parafii p.w. Stygmatów św. Franciszka z Asyżu w Bronowicach Wielkich

nr 23

2000

ODPUST PARAFIALNY

Stygmaty Św. Franciszka

W krótkim odstępie czasu mamy dwie ważne uroczystości ku czci św. Franciszka z Asyżu. 17 września przypada święto jego stygmatów; jest to również nasz główny odpust, bo nasz kościół i parafia noszą tytuł Stygmatów św. Franciszka. Natomiast 4 października obchodzimy narodziny tego Świętego dla nieba i czcimy go jako zakonodawcę. W tym dniu tradycyjnie młodzi współbracia naszej wspólnoty zakonnej składają śluby wieczyste lub ponawiają śluby czasowe na kolejny rok.

Święto Stygmatów kieruje nasze myśli i serca ku górze La Verna (Alwernia), leżącej w masywie Apeninów w środkowych Włoszech. To tam właśnie św. Franciszek otrzymał stygmaty, czyli znaki Chrystusowej męki na swoim ciele – na rękach, stopach i boku. Dokonało się to w połowie września 1224 r., prawdopodobnie w święto Podwyższenia Krzyża Świętego (14 IX).

Alwernia była jednym z ulubionych miejsc modlitewnego odosobnienia dla św. Franciszka. Latem wspomnianego roku w towarzystwie kilku najbliższych uczniów wspinał się na jej szczyt (ok. 1300 m n.p.m.) po raz ostatni. Czuł, że zbliża się już siostras śmierć. Na górze chciał w ciszy i samotności przez czterdziestodniowy post przygotować się duchowo do święta Archanioła Michała w dniu 29 września, jak czynił to każdego roku. Zawsze szczególnym uczuciem darzył Aniołów Pańskich, a zwłaszcza Świętego Michała, Chorążego całego wojska niebieskiego. Po przybyciu na Alwernię oddalił się na znaczną odległość od swoich braci, bo pragnął być



sam na sam z Bogiem. Przychodził do nich tylko, aby uczestniczyć we Mszy św. i raz dziennie, lecz nie zawsze, br. Leon przynosił mu odrobinę chleba i wody.

Nieodłącznym towarzyszem samotnego trwania św. Franciszka przed Panem był sokół, który regularnie budził go pośród nocy. W ten sposób określał porę, w której należało już wstać z kamiennego łóża i zacząć na nowo wielbić Pana. Bywały jednak dni, w których czuwanie na modlitwie tak dalece wyczerpywało siły Franciszka, że litościwy sokół czekał ze swym śpiewem do świtu, aby dać mu nieco więcej wytchnienia. Schodząc później z góry św. Franciszek nie zapomniał o swym skrzydlatym przyja-

cielu. Zwrócił się do niego ze słowami: „Żegnaj sokoło, który budziłeś mnie o świcie. Dziękuję ci za twoją troskliwość, którą mnie obdarzałeś”.

Surowa góra Alwernia, jej popękane i porożdziane skały, zwłaszcza budzący podziw tzw. Sasso Spicco – olbrzymi głaz zawieszony w rozpadlinie skalnej przypominały Franciszkowi Golgotę, na której Chrystus zawisł na drzewie krzyża. Nasuwały mu się skojarzenia z Wielkim Piątkiem i chwilą śmierci Jezusa, w której przyroda wyraziła cały swój ból przez to, że ziemia się zatrzęsała i popękały nawet głuche i obojętne na wszystko głązy.

Przy skałach Alwernii Franciszek spotykał się duchowo z Chrystusem. Coraz głębiej przeżywał tajem-

Dokończenie na str. 2

Odpust parafialny roku jubileuszowego i poświęcenie nowej dzwonnicy

Niedziela 17 września była dniem szczególnym w naszej parafii. Przypadający na ten dzień odpust parafialny w święto Stygmatów św. Franciszka zbiegł się w czasie z wyjątkowym wydarzeniem, jakim będzie pamiętane długo w Bronowicach Wielkich poświęcenie nowej dzwonnicy i dzwonu, które upamiętniają wielki jubileusz drugiego millennium chrześcijaństwa. Uroczystości rozpoczęły się o godz. 10³⁰ od samego poświęcenia dzwonnicy i dzwonu „Franciszek”, którego to obrzędu dokonał ks. bp Albin Małysiak, powitany wcześniej gorąco przez ojca

proboszcza i wiernych. Wszystkim uczestnikom poświęcenia na pewno pozostaną na długo w pamięci słowa przepięknej modlitwy, wykładającej przy okazji w poetyckich i pełnych niezwykle patosu słowach, jakimi przymiotami ma dzwon kościelny być obdarzony i czemu służyć.

Niestety, naszą radość zmąciła drobna awaria urządzeń sterujących biciem dzwonów (była to – cytując o. Jacka – złośliwość rzeczy martwych), które odezwały się dopiero w trakcie mszy, odprawionej bezpośrednio po poświęceniu. Msza miała bardzo

STYGMATY ŚW. FRANCISZKA

Dokończenie ze str. 1

nieć Jego bolesnej Męki i Śmierci dla naszego zbawienia. Coraz goręcej pragnął jakby utożsamić się z cierpiącym Panem. Dlatego upadł na kolana i modlił się: „Panie mój – błagał – Jezu Chryste! Proszę Cię o dwie łaski przed śmiercią moją. Pierwsza ta, bym, ile tylko możliwe, odczuł na ciele i duszy ból, jaki Ty, Słodki Panie, odczuwałeś w czasie przebolesnej męki. Druga, abym – ile tylko można – odczuwał w moim sercu taką miłość, jaką żywiłeś, o Synu Boży, podejmując dobrowolnie mękę za grzeszników”. Odczuć ból i odczuć miłość Ukrzyżowanego Pana – oto jego ostatnie życzenia przed kresem ziemskiej drogi.

Ta niezwykła prośba św. Franciszka została wysłuchana. Gdy pewnego dnia o świcie trwał na modlitwie z rękami uniesionymi do góry, naraz zalała go światłość z nieba. Ujrzał postać przybitą do krzyża. Na ten widok ogarnęła go niezmierna radość, uczucie szczęścia i pokoju, a równocześnie smutek z powodu cierpienia Postaci Ukrzyżowanej, w którą się wpatrywał. Nie rozumiał znaczenia tego niezwykłego widzenia. Nagle poczuł przeszywający, ostry ból. Jakby żelazne gwoździe wbijały się w jego dłonie i stopy, a ostrze włóczni przeszło mu bok. W tej mistycznej wizji Chrystus wycisnął na jego ciele znamiona swej krzyżowej Męki. Uczynił go swoim bratem w cierpieniu. Nazначzył swoimi świętymi znakami, po których kiedyś rozpoznał Go niewierny Tomasz. Były to rany żywe, bolejące, często broczące krwią. Mając na swoim ciele stygmaty Chrystusa, św. Franciszek stał się Jego żywą ikoną. Chrystus zechciał tak blisko dopuścić go do tajemnicy swej miłości do ludzi, do tajemnicy Krzyża. Nic więc dziwnego, że zostanie póź-

niej nazwany „drugim Chrystusem”, a Alwernia – „drugą Kalwarią”.

Na miejscu, gdzie dokonał się ten niesłychany cud stoi dziś Kaplica Stygmatów. W posadzce przed ołtarzem można zobaczyć za szkłem skałę, na której kłęczał św. Franciszek w chwili stygmatyzacji. Codziennie o godz. 15⁰⁰ wspólnota franciszkańska przy tamtejszym Sanktuarium udaje się w modlitewnej procesji do tej kaplicy na nabożeństwo uczczenia stygmatów św. Franciszka.

Alwernia w włoskiej Toskanii to jedno z najbardziej znanych sanktuariów Krzyża i Męki Pańskiej. Co roku na tę świętą górę przybywają liczni pielgrzymi z całego świata. 17 września 1993 r. sanktuarium na Alwernii nawiedził po raz drugi Ojciec Święty Jan Paweł II (pierwszy raz był tam jeszcze jako kardynał w 1971 r.). Przy tej okazji w Kaplicy Stygmatów skierował do św. Franciszka piękną modlitwę, którą sam ułożył. Oto jej słowa: „Święty Franciszku, który otrzymałeś stygmaty na Alwernii, świat tęskni za tobą jako za ikoną Jezusa Ukrzyżowanego. Potrzebuje Twojego serca otwartego ku Bogu i ku człowiekowi, Twoich stóp bosych i zranionych, Twoich rąk przebitych i błagających. Tęskni za Twoim głosem słabym, ale potężnym mocą Ewangelii. Pomóż im wyzwolić się z samych struktur grzechu, które uciśkają dzisiejsze społeczeństwo. Ożyw w rządzących świadomość tego, jak nagląco potrzeba pokoju wewnątrz narodów i pomiędzy nimi. Niech młodym udzieli się Twoja świeżość życia, zdolna przeciwstawić się zasadzkom różnorodnych kultur śmierci. Dotkniętym wszelkiego rodzaju złością przekaz, Franciszku, Twoją radość płynącą z umiejętności przebaczenia. Wszystkim ukrzyżowanym przez cierpienie, głód i wojnę, otwórz na nowo bramy nadziei”.

o. Wacław Michalczyk

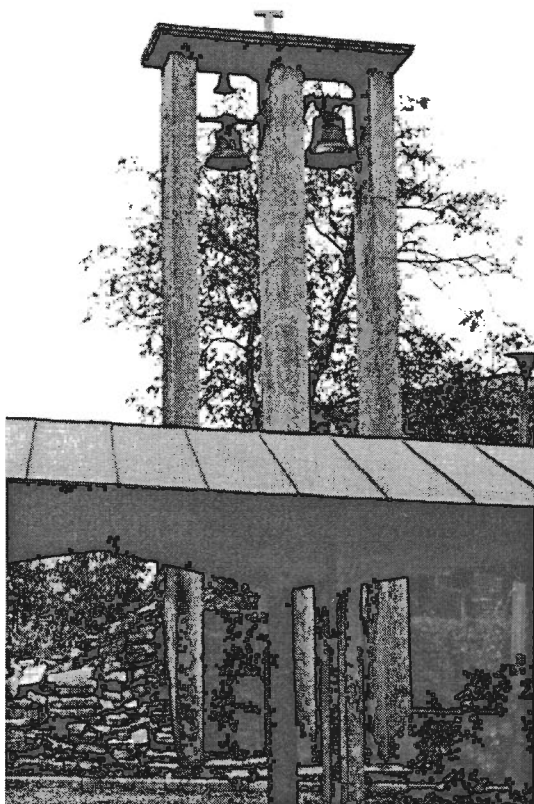
uroczysty charakter, co podkreślał fakt sprawowania obrzędu przez dostojnego Gościa, który wygłosił także kazanie poświęcone św. Franciszkowi i różnym aspektom jego działalności, związanym ze współczesną nauką społeczną Kościoła. Wyjątkowy charakter uroczystości podkreślały także licznie rozkwitające w świątyni stroje bronowickie przedstawicielek płci pięknej i męskiej asysty, która bardzo pięknie prezentowała się podczas kończącej mszę procesji. Efektownie wypadło także zanieśenie darów ofiarnych do ołtarza. Jak już wspomniano dzwony odezwały się wreszcie pod koniec kazania. I już nie zamilkły do końca mszy, tryumfalnie obwieszczając światu, że nadszedł upragniony moment zakończenia prac nad wznoszeniem nowej dzwonnicy w Bronowicach. Każdy z uczestników uroczystości miał okazję podziwiać nasze dzwony w całej krasie podczas procesji. Wielu nie kryło zachwyty i dumy. Na koniec były także słowa podziękowania dla ojca Jacka, bez którego determinacji i poświęcenia nowa dzwonnica nigdy by nie powstała oraz dla dostojnego księdza biskupa. Ojciec proboszcz nie zapomniał w swoim słowie o podziękowaniach dla wszystkich ofiarodawców i tych, którzy przyczynili się do realizacji całej inwestycji. Było pięknie, wzruszająco. Niech żałują ci, którzy tego dnia wybrali się na msze o innej porze.

Na koniec warto przypomnieć w największym skrócie najważniejsze wydarzenia, które miały miejsce w okresie zamykającym niedzielne święto.

Tak więc:

1. Do realizacji wybrano projekt autorstwa inż. architekta Antoniego Mazura.
2. Wykonawstwo prac budowlanych zlecono panu Alfredowi Rybarczykowi.
3. Dzwon odlano w przemyskiej słynnej firmie „Odlewnia i naprawa dzwonów Jan Felczyński”.
4. Montażu dzwonów na konstrukcji dokonała firma „A.R. Duch – Elektroniczne napędy do dzwonów”.
5. Pierwszym wymiernym efektem starań o budowę było uzyskanie Decyzji WZiZT – 26. 01. 2000 r.
6. Uzgodnienie ZUDP (Zespół Uzgodnień Dokumentacji Projektowej) – 23.02.2000 r.
7. Uzyskanie Decyzji pozwolenia na budowę – 20.04.2000 r.
8. Rozebranie starej dzwonnicy – 15.04.2000 r.
9. Przygotowanie terenu: wykopanie dołu pod fundamenty – 5.05.2000 r.
10. Montaż konstrukcji stalowej – 8.06.2000 r.
11. Wylanie fundamentu – 18.06.2000 r.
12. Budowa, elewacja, wykończenie – 26.06–28.08.2000 r.
13. Wykonanie nowego dzwonu: tonacja F, waga 130 kg; zamówiony – 13.11.1999 r., przywieziony i wystawiony w kościele – 10.08.2000 r.
14. Montaż dzwonów i mechanizmu elektronicznego – 5–8.09.2000 r.
15. Poświęcenie – 17.09.2000 r.

Małgorzata Szymczyk i Kazimierz Sikora



Stara i...



...nowa dzwonnica

Słów parę o wizji(tele)

Wielce szanowna redakcja zapytując, czy zechcę swą niewprawną ręką skreślić kilka słów do parafialnego biuletynu, zasugerowała delikatnie, bym może ograniczył nieco swe ciągoty do tematów politycznych. Na trzy tygodnie przed wyborami prezydenckimi? LUDZIE MIEJCIE LI-TOŚĆ!!! Mogę spróbować, ale nic nie obiecuję.

Proponuję zatem następujący temat (zastępczy) naszych dzisiejszych rozważań: zdrowy rozsądek a abonament radiowo-telewizyjny. Jak zapewne wszystkim wiadomo, zdrowy rozsądek radzi nam tak wydawać nasze ciężko zarobione pieniądze, byśmy czerpali z tego wydawania konkretne korzyści. Zawsze uśmiechnięty prezenter radzi – opłać abonament, a weźmiesz udział w losowaniu jakże atrakcyjnego samochodu osobowego... i tak na dobrą sprawę jest to jedyny plus wynikający z terminowego opłacania abonamentu RTV. Pora wyliczyć minusy. Pozwolą państwo, że skupię się na razie na samej telewizji. Jeszcze tylko mała dygresja, którą staram się przypominać w każdym niemal artykule: wszystko, co napisane jest powyżej i zostanie napisane poniżej jest li tylko moim prywatnym zdaniem.

Minus pierwszy: wydawałoby się błahy, ale dla mnie bardzo istotny. Sponsorując telewizję, wraz z tysiącami (jeżeli nie milionami) braci kibiców, chciałbym obejrzeć od czasu do czasu ciekawy mecz piłkarski, a raz w tygodniu – bramki z ligowej kolejki. Niestety, okazało się, że po wypłaceniu wszelkich premii i nagród dla prezesostwa i prezesowskiej rodziny, zostało tylko parę złotych (dolarów) na ochłapy. Te ochłapy to mecze towarzyskie i retransmisje. Te pierwsze – są potyczkami bez stawki, a co za tym idzie bez emocji, te drugie mają to do siebie, że

"DYŻURNY FELIETONISTA"

Janusz Konik

zawsze znajdzie się jeden taki, co to albo oglądał mecz w normalnym czasie, albo w jakiś inny sposób poznał wynik i nie zaśnie, zanim się tą wiedzą z nami nie podzieli. I nie pomoże odcięcie się od świata za pomocą drzwi od piwnicy i przeczekanie do czasu nadawania retransmisji (wiem, bo próbowałem), ponieważ po minie redaktora sportowego od razu można poznać, co też nasze orły tym razem zwojowały. Dodam tylko na usprawiedliwienie, że pierwszy mecz piłkarski na stadionie krakowskiej Wisły oglądałem z o. Eugeniuszem.

Minus drugi: bardziej poważny. W myśl zasady mówiącej o tym, że człowiek uczy się przez całe życie, staram się czerpać wiedzę z różnych źródeł. Różnorodność kultur i egzotyka najdalszych zakątków naszego świata przyprawia o zawrót głowy. O zawrót głowy przyprawiają też ceny wycieczek turystycznych do tychże najdalszych zakątków. O wiele taniej wychodzą podróże odbywane za pomocą własnego fotela. Po latach spędzonych w szkolnych ławach okazuje się nagle, że „Historia” może być przedmiotem fascynującym. Uparty i cierpliwy widz odnajdzie w codziennym chłampie filmy oraz programy, które wzruszają, ciekawią albo dają impuls do myślenia. I tu pojawia się problem, okazuje się bowiem, że to, co wartościowe nadawane jest najczęściej, gdy większość z nas jest w pracy lub, po tejże pracy, układa się do snu. Za to, w tak zwanych godzinach normalnych bez problemu możemy się nauczyć: jak wyeliminować przeciwnika za pomocą łomu ew. piły mechanicznej, jak detonować ładunki wybuchowe, by było możliwie dużo ofiar oraz,



gdzie i z kim modelka X spędzi urlop (od razu z informacją, dlaczego urlop ten będzie nieudany).

Minus trzeci: bardzo poważny i aktualny. By nie było żadnych nieporozumień, na wstępie zaznaczam, że nie mam kandydata na prezydenta i znowu (z bólem serca) zmuszony będę wybrać mniejsze zło. Wracam do tematu, będąc co prawda człowiekiem nie pozbawionym wad (oj, nie pozbawionym) żywię jednak przekonanie, iż osoba ubiegająca się o najwyższy tytuł w kraju winna spełniać pewne, choć podstawowe warunki i normy przyzwoitości. Mało tego, jako jeden z tych, którym wzorce patriotyzmu i przyzwoitości kreślił swą poezją Zbigniew Herbert mam wprost alergiczne uczulenie na polityków: cwaniaczków, karierowiczów, leniusezków i kłamczuszków (którym jeszcze na dodatek coś się czasem zapomni). Może ktoś mi zatem wyjaśni, dlaczego telewizja (tfu!) publiczna za moje i mnie podobnym (mam nadzieję, że przynajmniej ze dwóch bym znalazł) ciężko zarobione pieniądze funduje kampanię reklamową kandydatowi spełniającemu wszystkie moje antynormy?

Rozgadałem się na temat telewizji, radiu dołożę innym razem.

Czas na małe podsumowanie. Patrzy człowiek na te blankiety abonamentowe i słyszy głos sumienia – „oddajcie Bogu, co boskie, a cesarzowi, co cesarskie” – i tylko ręka drży, bo cesarz głupi i wiecznie pijany.

ZAANGAŻOWANIE

„Jeszcze nie miasto, ale już nie wieś” – taką etykietkę przykleja się osiedlom peryferyjnym, takim jak Bronowice Wielkie. Spotkanie z tym określeniem rodzi we mnie przede wszystkim bunt, jak zawsze, gdy ludzie próbują szacować, co lepsze: miasto czy wieś. To równoznaczne z ocenianiem, czy kolor biały jest ładniejszy od czerwonego. Zetknięcie z takim określeniem we własnym środowisku każe jednak zastanowić się, co to właściwie jest za twór i jakie postawy ludzi określa.

Osiedle peryferyjne, a więc leżące na obrzeżu dużego miasta. Kiedyś było wioską lub osadą, rządzącą się swoimi prawami i zwyczajami. Z pokolenia na pokolenie przekazywano normy, obyczaje, wzory zachowań, ale również spory, zatargi itp. Życie biegło wg ściśle określonych reguł i przyzwyczajęń. Ludzie znali się, czuli się wspólnotą, całością organiczną, w której każdy miał określoną tożsamość. Dawało to poczucie bezpieczeństwa i przynależności do grupy.

Zwykło się mówić, że nowe nie przychodzi z hałasem. Z biegiem lat, niepostrzeżenie miasto „przybliżyło” się na tyle, by Bronowice stały się jego częścią. Zmieniły się realia życia, a w konsekwencji charakter osiedla. Nastąpiły zmiany ułatwiające życie, jak np. większy dostęp do szkół, miejsc pracy, ośrodków kultury czy leczenia, ale również pojawiło się wiele problemów. Ciągłe jest to miejsce peryferyjne, skazane na braki, m.in. w infrastrukturze, jak również braki finansowe miasta niezbędne do ich usunięcia. Modne kiedyś „czyny społeczne” w naszych realiach okazały się jedynym wyjściem, by w Bronowicach był gaz, telefony i w jakimś

stopniu uporządkowane rowy. Inne to były czasy, inne możliwości i inne zaangażowanie mieszkańców.

ZAANGAŻOWANIE – pojęcie dziś obce dla większości rodzimych Bronowiczian. Zjawisko trudne do zrozumienia, tym bardziej, że w dalszym ciągu ludzie się doskonale znają, co powinno ułatwiać porozumienie.

W ostatnich latach inicjatorami wszelkich „postępowych” ruchów w naszym osiedlu są w większości ludzie wywodzący się spoza Bronowic. A gdzie są nasi zakorzenieni od pokoleń mieszkańcy? Dlaczego w tak małym stopniu (kilka osób!) angażują się w sprawy dla nich istotne i żywotne? Dlaczego biernie przyglądają się lub krytykują po kątach? Od lat słyszę i zgadzam się z twierdzeniem, że krytyka może i powinna być konstruktywna, ale nie ta skrywana w ciasnym gronie najbliższych sąsiadów! Dlaczego tak jest?

Od paru lat działa Stowarzyszenie, które ma na celu m.in. ZINTEGROWANIE lokalnej społeczności. Temat zrozumiały na nowych, anonimowych osiedlach, pełnych obcych sobie ludzi, ale u nas?! Jak to się stało, że nasza społeczność lokalna wymaga integracji?

Stowarzyszenie zorganizowało kilka festynów. Były programy artystyczne, występy zespołów, zawody sportowe, zadbano o podniebienie itp. itd. Licznie i ochotczo uczestniczyły w grach i zabawach dzieci. Chętnie wybiegały na scenę i bez większej żenady (bo przecież wszyscy je znają!) dawały upust swoim talentom, nie zdając sobie jeszcze sprawy, jaką wartość ma świadomość „bycia u siebie i wśród swoich”.

W komfortowej, niemal rodzinnej atmosferze, jaką powinna stworzyć szkoła w tak małym,

znającym się środowisku – dzieci poza zgłębianiem wiedzy mają okazję nauczyć się zdrowej rywalizacji. Wiadomo, kto startuje z gorszej pozycji i jak mu należy pomóc, by stworzyć wszystkim możliwość współzawodnictwa. Parę lat temu z takim bogactwem wyruszyła młodzież do szkół średnich, w „obcy” świat, gubiąc jednak po drodze tę umiejętność wygrywania i przyjmowania porażki, często rezygnując z dalszej walki. Jedyną spójnią pozostało to, że nie stali się sobie obcy. Różni się w poglądach, charakterach, ale chętnie się spotykają, rozmawiają, kiedy nadarzy się okazja. Taką okazją są również festyny, toteż było na nich sporo ludzi młodych. Nie zawiedli również ludzie starsi. Wyposażeni w krzeselka, zasiadali gdzieś w cieniu, wypatrując dawno niewidzianych twarzy swoich rówieśników, by przywrócić świeżość swoim wspomnieniom. Natomiast średnia grupa wiekowa była najmniej liczna. Ci, którzy rzeczywiście mieli ochotę i zaryzykują twierdzenie – odwagę – przyjść, bawili się świetnie. Pozostali spacerujący chodnikiem lub na swoich podwórkach często nasłuchiwali nie okazując zainteresowania. Dlaczego? Co się stało? Ludzie dorośli wstydzą się przyznać, że potrzebują chwili wytchnienia i rozrywki nawet w niedzielę? Czy może poziom zabawy nie ten?

Mamy rozgarnięte, pozbawione kompleksów dzieci, chętnie angażujących się seniorów i niłą grupę tych, którzy są w najbardziej produktywnym okresie swojego życia. Silni bezsilni?

Na prośbę o. proboszcza o pomoc w wykopaniu dołu pod fundamenty nowej, NASZEJ, parafialnej dzwonnicy zareagowało i przyszło czterech mężczyzn. Takie samo „zaangażowanie” towarzyszyło podczas wszystkich innych

Dokończenie na str. 6

ZAANGAŻOWANIE

Dokończenie ze str. 5

prac związanych z budową. Ofiarni i solidarni okazaliśmy się jedynie w zbiórce pieniężnej.

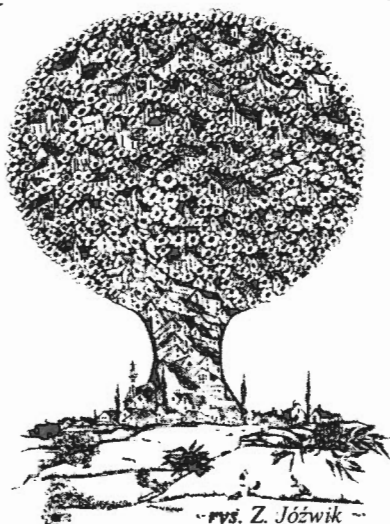
Na pytanie wprost, dlaczego nie ma chętnych do pomocy pada odpowiedź – „nie mam czasu”. Najczęściej używany i najbardziej uniwersalny wykręt. Wykręt sugerujący, że np. rozwiązaniem problemu zdrowej wody w osiedlu zajmują się ludzie cierpiący na nadmiar wolnego czasu lub wręcz nudzący się w życiu. To przypomina paradoks: z jednej strony brak wody powodujący regres gospodarczy i grupka ludzi chwytająca ten problem za rogi, z drugiej – pozorna obojętność najżywotniej zainteresowanych ludzi. Obojętność pozorna, bo zdecydowana większość ciuła niemałe pieniądze, potrzebne do sfinalizowania budowy wodociągu. Na tym jednak kończy się zaangażowanie, nie biorąc oczywiście pod uwagę licznych pretensji i żądań.

Jak grzyby po deszczu narastają pytania. Szczerze mówiąc nie umiem na nie odpowiedzieć. W kalendarzu zawierającym aforyzmy czytam: „osoba, która nie odkryła dla siebie nowej ziemi nie pogodzi się łatwo z odkryciem nowych ziem przez innych” (C. Valles). Tak też dzieje się moim zdaniem w naszym osiedlu. Był czas, kiedy życie biegło wg określonych schematów, przyzwyczajęń. Świat był przewidywalny. Bezpiecznie i wygodnie jest wieść swój żywot w spokoju. Ludzie niechętnie poddają się zmianom, bo one niosą niepewność, zmuszają do wysiłku, komplikują życie. F. Alberoni w swej książce noszącej tytuł „Optymizm” pisze: „kiedy ludzie nie spoglądają już daleko, lecz blisko, kiedy nie badają już przyszłości, lecz zadawalają się teraźniejszością, kiedy nie naśladowują już innych, by być lepszymi, kiedy przestają marzyć, kiedy stają się niezdecydowani, ...obniża się pęd ku wybitności, obniża się zbiorowe napięcie, zmniejsza się kreatywność. Zdarza się to narodom, partiom politycznym, miastom, przedsiębiorstwom. Po fazie ekspansji nadchodzi zastój i upadek... Nie ma nic bardziej tragicznego dla jednostki i narodów niż przyzwyczajenie do przeciętności”. Tak stało się w naszym środowisku. Społeczeństwo się sformalizowało, a ideały skostniały. Ludzie uśpili swoją kreatywność. Utworzyliśmy sobie ubogą wizję świata i straciliśmy kontakt z rzeczywistością. Przebudzenie wcale nie jest cudo-

wne. Przybyło nowych mieszkańców z różnych stron miasta, kraju. Wśród nich pojawili się ci, którzy dostrzegli potrzebę zmian i podjęli kroki w celu ich rozwiązania. Dla tych, którzy będąc „u siebie” tkwili w miejscu jest to jak wytknięcie palcem. Stanowi wyrzut sumienia wobec własnego umysłowego lenistwa i wyzwanie wobec własnej bezwładności, rozprężenia. Najłatwiej wtedy atakuje się osiągnięcia innych, aby usprawiedliwić własny brak osiągnięć. „Ja tak nie robiłem i dlatego tak nie warto robić, a jeśli ktoś tak postępuje, trzeba go pohamować, aby samemu nie zostać zdemaskowanym”. Ludzie, którzy sami się nie zmieniają przyjmują z niechęcią zmianę u innych lub w ogóle jej nie tolerują. W takiej atmosferze zaryzykowanie oryginalności albo wyrażenie odmienności wymaga sporej odwagi. Większość ludzi woli spokój od konfrontacji. Dlatego tym „napływowym” mieszkańcom łatwiej było podjąć wyzwanie uporania się z problemami, bo będąc obcymi w środowisku, byli już „inni” niejako z urzędu. Ale równocześnie skazani na samotność. Byli spoza grupy. Przyglądano się im nieufnie, podejrzliwie, z zakłopotaniem usuwając na bok. Ale co można zobaczyć obserwując sprawy z zewnątrz? Aby odnieść sukces w trudnym przedsięwzięciu potrzebny jest upór, ogromna motywacja, poświęcenie, zużycie sił i umiejętność podejmowania ryzyka, trwające często lata. Obserwując sprawy z zewnątrz, zwykle mam wrażenie, że wszystko odbywa się łatwo. Nie znam nakładu pracy, widzę najwyższy efekt. Pewnie podobnie widzą ci wszyscy obserwatorzy i nie czują potrzeby wychylenia z bezpiecznego i wygodnego „niech robią inni”. Na pewno sprawa jest o wiele bardziej złożona i nie znajduję odpowiedzi na pytania, dotyczące „trudnego” środowiska ni to wsi ni to miasta. Przyszła mi na koniec myśl, że może w grę wchodzi również zazdrość. Ta, o której mówił Nietzsche i Max Scheler: „człowiek żywiący urazę nienawidzi pięknych, mocnych, zwycięskich...

przekonuje sam siebie, że nie są to cnoty, lecz wady... według tak zwanej moralności urazy ten, kto odnosi sukces, jest godny potępienia. Tylko nieszczęśnicy, biedacy, pogrążeni w rozpacz mają czyste ręce i czyste serce.”

Zazwyczaj zazdrośnik skrywa swoją zazdrość pod maską sprawiedliwości. Zazdrość rodzi się z identyfikacji, z podziwu. Rodzi się, gdy zdajemy sobie sprawę, że zostaliśmy wyprzedzeni przez kogoś, kto był na naszym poziomie. Nie jesteśmy w stanie z nim rywalizować i czujemy się gorsi. Zazdrość nie wznaga, lecz



rys. Z. Józwik

ŚWIĘTY JACEK I PIEROGI

17 sierpnia uczciliśmy Dzień Patrona naszego księdza, O. Jacka Komana. O godzinie 18⁰⁰ uczestniczyliśmy we Mszy św. w jego intencji, potem złożyliśmy życzenia i na chwilę zebraliśmy się w salce przyklasztornej, aby cieszyć się razem z Ojcem jego świętem. Przy rozkosznym torcie, którym raczyła nas niezmordowana Pani Czesława czas mijał szybko. Atmosfera była tak serdeczna, że odważyłem się poruszyć problem św. Jacka i pierogów. Okazało się, że nawet sam szanowny Solenizant nie potrafił nam niczego bliższego powiedzieć na ten temat, do czego zresztą przyznał się od razu. Zainteresowałem się więc tym tyle zabawnym, co zagadkowym zagadnieniem językowo-kulturowym.

Że w Bronowicach wykrzyknienie „Święty Jacku z pierogami!” było znane i stosowane, potwierdził nasz znakomity dialektolog Kazik Sikora. Podał też sytuację, w której zwrot ten mógł być użyty. Oto umorusane, ubłocone dziecię wchodzi do domu. Matka załamuje ręce i woła: „Święty Jacku z pierogami! A gdzieżeś się tak ubrudził?”. Tak, taka sytuacja całkowicie odpowiada moim doświadczeniom języ-

osłabia wolę zdobycia czegoś. Byłoby to też wytłumaczeniem postaw niektórych ludzi, którzy lubią umniejszać lub nie dostrzegać cudzych zasług. Bezsilna zazdrość „...przygniatające poczucie własnej niższości – typowy objaw towarzyszący stale «pospolitemu» wartościowaniu – musi zahamować aktywność... Upragnioną przez człowieka świadomość wyższej lub równej z innymi wartości osiąga się tu przez iluzoryczne pomniejszenie wartościowanych cech przedmiotu porównań lub szczególną «ślepotę», która nie pozwala ich dostrzec” (M. Scheler – „Resentyment a moralność”). Zazdrość również powoduje rezygnację z działania, rezygnację po prostu z celu.

Tak więc trwamy w udawanym letargu nadając prawdziwość powiedzeniu, że „nowa miotła zawsze lepiej zamiata”. Powiedzenie powszechnie znane, więc może problem też nie jest nowy. Pocieszające jest to, że coś zaczyna się zmieniać. Jakby drgnął ten skostniały organizm Bronowic. Zaczynamy wychodzić poza własny ogródek, dostrzegając radość z dawania innym czegoś z siebie. Mamy czym się dzielić, bo każdy z nas jest indywidualnością i od każdego można się czegoś nauczyć.

N.N.

(nazwisko i imię autora znane redakcji)

kowym z okolic Nowego Sącza. Osobliwe połączenie, nietypowe zestawienie świętego z popularną w polskiej kuchni potrawą; ubóstwianymi w dzieciństwie pierożkami z czereśniami, borówkami, serem, mięsem i kapustą. Skąd to się wzięło?

W nadziei, że odpowiedź na to pytanie znajdę w literaturze hagiograficznej począłem z zapalem studiować żywoty polskich świętych. Na próżno. O św. Jacku podano stosunkowo dużo informacji, ale nie znalazłem ani śladu wzmianki o pierogach.

Myślę, że warto tu podać kilka szczegółów z życia tego świętego. Jacek Odrowąż żył i działał w latach ok. 1183–1257. Prawdopodobnie pochodził ze śląskiej linii Odrowążów. Studiował na uniwersytecie w Bolonii. Dominikanin. Wstąpił do zakonu w 1220 r. Pierwszy przełożony klasztoru dominikańskiego Św. Trójcy w Krakowie. Wybitny kaznodzieja i gorliwy misjonarz. Działalność apostolską i misyjną prowadził na terenach między Adriatykiem i Bałtykiem, od Odry po Dniestr. Już za życia cieszył się sławą wielkiego cudotwórcy. Kanonizowany w 1594 r. Jego grób znajduje się w krakowskim kościele oo. dominikanów. Jego kult jest żywy po dziś dzień.

W bogatej działalności misyjnej naszego świętego szczególne miejsce zajmuje misja ruska. Wyruszył on na Ruś wraz ze swoimi towarzyszami i uczniami: Godynem, Florianem i Benedyktem z Krakowa jesienią 1228 r. Przez Włodzimierz Wołyński, Łuck, Żytomierz dotarli do Kijowa. Pobyt na Rusi trwał 4–5 lat, nie tylko w Kijowie, ale także na Zadnieprzu, na Białorusi, a nawet w Moskwie. Pobyt św. Jacka w Kijowie upiękaszony jest wieloma legendami, wśród których najbardziej znana opowiada o przeprowie świętego przez Dniepr z posągami Matki Bożej. Legenda ta świadczy o tym, że wśród wiernych żywa była pamięć o kulcie św. Jacka do Matki Bożej.

Można przypuszczać, że związek świętego z pierogami, co przez wiele lat pielęgnowała tradycja ludowa też jest swoistym, nieco żartobliwym przejawem szczególnej czci, jaką cieszył się św. Jacek w Polsce, szczególnie w Krakowie i na Śląsku. Może to jeszcze jedna legenda, która przypisuje mu spopularyzowanie tej potrawy wśród naszych rodaków. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Wiesław Witkowski, znakomity filolog-slawista, ale i znawca życia religijnego i stosunków konfesyjnych w Polsce i na Rusi poważnie odnosi się do takiej tezy.

Każdy, kto był w Rosji, czy na Ukrainie wie, że bardzo popularne są tam *pierogi*. Sprzedaje się je na-

Dokończenie na str. 8

Św. Jacek i pierogi

Dokończenie ze str. 7

wet na ulicy. Można je jeść, spacerując po mieście. Oczywiście, nie przypominają one polskich pierożków z serem, kapustą czy borówkami. Te nazywają się w krajach ruskich *wareniki* (od *variti* 'warzyć, gotować'). Pierogi, z którymi zetknął się zapewne św. Jacek i które można kupić na każdym kroku w Moskwie, Kijowie i Mińsku to pieczone ciasto z nadzieniem (mięsem, rybą, kapustą, grochem, grzybami, kaszą). Ruskie źródła podają już w 1193 r.: *Dajut'sja pirozi mnichom*, czyli „Mnichom daje się pierogi”, mamy więc prawo mniemać, że zakonnicy nie stronili od tego przysmaku. Lud ruski traktował pierogi ze szczególnym poważaniem, były one symbolem dostatku, w przeciwieństwie do chleba, prostego jedzenia. Świadczą o tym przysłowia ludowe, których w rosyjskim słowniku W. Dahla (XIX w.) naliczyłem 47, np. *Jedz chleb, jak nie masz pierogów; Lepszy chleb z wodą niż pieróg z biedą; Dobrze popom i popowiczom, ich zapraszają i pierogi dają; Kołczan piękny strzałami, a obiad pierogami*. Lud zadawał też zagadkę. Co to jest: *Drewniany pieróg z mięsnym nadzieniem*? Odpowiedź: „trumna z ciałem”.

Sam wyraz *pirog* być może przywędrował na Ruś z języków turecko-tatarskich (por. np. tureckie, krymsko-tatarskie *böräk* 'pieróg z mięsem', czuwaskie *püräk* 'to samo'). Z Rusi zarówno nazwa jak i to, co się pod nią kryje przedostały się najpewniej do Polski, nie wykluczone, że przenieśli ją właśnie zakonnicy. Przecież nieprzypadkowo zajadamy się obecnie ruskimi pierogami, chociaż te akurat należą do *wareników*, tyle że za nadzienie służą tu ziemniaki. Polska tradycja ludowa – jak można sądzić na podstawie omawianego wyrażenia – przypisuje ten fakt, tzn. przeniesienie nazwy i potrawy, dominikanom, których przedstawicielem jest właśnie święty Jacek.

Adam Fałowski

Oaza Dzieci na wakacjach

Od kilku lat najpopularniejszym miejscem wyjazdów wakacyjnych dla wielu Polaków jest Hiszpania. Jej piękne wybrzeża i ciepłe morze, same przyciągają turystów. My mieliśmy Hiszpanię w Polsce! Jak to możliwe? Może opowiemy od początku.

Zakliczyn nad Dunajcem to zakątek Polski szczególny dla naszego Zakonu. Tu został zbudowany pierwszy klasztor w ramach naszej Prowincji Zakonnej (1622 r.). Tu też mieści się Nowicjat, gdzie bracia przygotowują się do pełnego uczestnictwa w życiu zakonnym, które obrali. Samo miasteczko Zakliczyn jest miejscem urokliwym, z zachowaną architekturą dawnych zaściankowych miasteczek galicyjskich. W bliskiej odległości od Zakliczyna leżą Lutosławice z dworkiem Krzysztofa Pendereckiego, Kończyska z klasztorem kontemplacyjnym ss. Bernardynek, Melstzyn z pozostałościami zamku, oraz Rozтока nad Dunajcem – najważniejsze miejsce na ziemi dla nas przez siedem dni. Co nas przywiodło w te okolice? Oczywiście Dunajec, który rozciąga się majestatycznie wśród pagórków, tworząc piękną dolinę.

Wyjazd wakacyjny powinien mieć swoje przygody. I rzeczywiście było ich wiele, ale pierwsza przytrafiła się mnie, tuż po przyjeździe i pożegnaniu się z autobusem. Okazało się, że wszyscy mają bagaże, a próżno wypatrywać tylko mojego plecaka! Po całodziennych torturach, dopiero nazajutrz, dzięki życzliwości o. Arkadiusza, odzyskałem zgubę.

A co z Hiszpanią? No właśnie! Pisząc o Hiszpanii miałem na myśli temperatury, jakie panowały w ciągu naszego pobytu w Roztoce. Codziennie powyżej 30 stopni i to dokładnie przez cały czas, to jest od 14 do 21 sierpnia.

Dzień zaczynaliśmy od Eucharystii, która najczęściej była sprawowana na zewnątrz, w altance. Przeżywanie Mszy Św. w małej grupie osób pozwala jeszcze pełniej doświadczyć wspólnoty. Dzieci bardzo przeżywały spotkanie z Bogiem. Przejawiało się to zwłaszcza poprzez zaangażowanie w śpiew, przygotowywanie czytań i służbę liturgiczną.

W naszym programie dnia kilka godzin było zarezerwowane na opalanie się i kąpiele w rzece. Nie zabrakło naszej wizyty na targu w Zakliczynie. Zwiedzaliśmy też nasz klasztor i kościół, po którym oprowadzał nas br. Sylwester.

Radość panowała, gdy przyjeżdżali goście. Ze słodyczami pojawił się o. Proboszcz, br. Bronisław oraz o. Tomasz, nowy powołaniowiec naszej Prowincji.

Dla wielu niezapomnianym przeżyciem były ogniska, wspólne wieczory (zielona noc) oraz ostatnia „Agapa” (uczta miłości), gdzie przy suto zastawionym stole okazywaliśmy radość z tego, że jesteśmy razem. Każdy z nas otrzymał również drobne upominki, które będą przypominać pobyt w Roztoce nad Dunajcem. Wracaliśmy do Krakowa w radosnych nastrojach, choć trochę było żal, że to już koniec wspólnego pobytu i wakacji.

o. Wiktor Wilkosz

PS. Serdecznie dziękuję Justynie Kotarbie i Magdzie Szymoniak za pomoc w opiece nad dziećmi.

Godzina rano (felieton wymuszony)

Pozazdrościłem naszemu redakcyjnemu koledze, specjaliście od ucieśnych felietonów (Johnemu Horse'owi, podporze naszej nie grzeszącej nadmiarem poczucia humoru redakcji – tu biję się sam w piersi jako do niedawna naczelny ponurak) i sam postanowiłem także wysmażyć coś godnego definicji tego publicystycznego gatunku. Na początku miało być o szerzeniu się pewnych wiejskich (tak to zdefiniujemy w uproszczeniu) obyczajów w naszej parafii – i nie idzie tu – zaznaczam – o stabilizowanie się zakładanego spożycia alkoholu na jednego uczestnika wesela, lecz o całkiem zwyczajną rzecz, jaką byłaby albo przebudowa i poszerzenie kruchty, albo otoczenie terenu przykościelnego murem, a wszystko to z myślą o tych młodych parafianach, którym „babiniec” i okolice drzwi wejściowych już nie wystarczają i, żeby spokojnie posiedzieć i pogadać w czasie mszy (może i zapalić – jak to się praktykuje w Białym Kościele), przenieśli się pod okap kościelnego dachu od strony południowej.

Pomysł przebudowy wydał mi się jakiś mało praktyczny, za to mur, pod którym można byłoby poustawiać stare ławki (kiedy już w kościele będą nowe), wydzielić zielone kąciki dla palaczy, zadbać o trawniki z parasolami dla szczególnie znużonych letnikami upałam itd., mocno rozpałił moją wyobraźnię. Zaraz jednak ochłonałem, kiedy przypomniałem sobie, że w tymże Białym Kościele (mam nadzieję, że po opublikowaniu tego tekstu jeszcze się będę mógł w tej skądinąd pięknej wsi kiedyś pokazać), kościół parafialny ma już piękne ogrodzenie, a bractwo przykościelne przeniosło się na leżący nieco poniżej świątyni plac, służący podczas mszy za parking. Tam, w cieniu wysokich drzew snuje się leniwie nie gospodarских rozmów, ocenia się walory prezentujących się w pełnej krasie wykwitów motoryzacji, postępy cywilizacji na wsi i robi wiele innych rzeczy, o których już zmilczę, by nie narazić się właścicielom otwartych w niedzielę sklepów. Tak więc sam mur, думаłem, nie pomoże, nie jest bowiem wystarczająco wyrazistym sygnałem odgraniczenia sfery – by ująć rzecz bardziej po naukowemu – sacrum i profanum (terminy te można sobie już samemu zinterpretować dowolnie, w czym Szanownych Czytelników nie chciałbym wyręczać). Hmm, pomyślałem, u nas ten model się nie sprawdzi, bo przecie parking skromniutki taki, że roweru w niedzielę nie wciśnie, do sklepu

stanowczo za daleko, a Ojcowska zrobiła się nieco zbyt ruchliwa, no chyba, żeby skarpe po drugiej stronie ulicy przerobić na amfiteatr. Ale i takie rozwiązanie byłoby kłopotliwe, bo zaraz by się podniósł w mieście gwałt i rwetes, że Kościół pod pozorem służby ludziom wyciąga rękę po cudze. Kottłowały mi się różne takie myśli pod coraz mniej bujną czupryną i o tym właśnie chciałem do biuletynu napisać, nawet – jako odpowiedzialny (do niedawna) redaktor – chciałem najpierw podzielić się tymi rewelacjami z naszym proboszczem, znanym powszechnie jako kapłan najszczodrzej obdarzony poczuciem humoru i najbardziej otwarty na problemy młodzieży, co najmniej w całym dawnym Układzie Warszawskim. Był już więc temat, nawet coś na kształt szkicu całości w głowie, kiedy coś mnie podkusiło, żeby pójść na ranną mszę. Siódma rano, to dla takiego nocnego marka jak ja, nie byle jaki wyczyn, jeszcze do tego w dzień powszedni przed pracą. Ale nic, idę, skoro już i tak wylazłem z łóżka, żeby uciszyć natrętny budzik. Oprzytomniałem na dobre dopiero na dole pod kościołem, kiedy mnie jakiś TIR usiłował poczęstować wodą z kałuży. Nawet przez chwilę (biję się w piersi) zapomniałem, że idę do kościoła... Tam złość mnie opuściła. Ustąpiła miejsca całkiem poważnej już refleksji.

W kościele było trochę ludzi, w większości starszych kobiet i mężczyzn; w ławkach modliła się także grupka osób w średnim wieku i młodszych. Patrzyłem po twarzach poradlonych przez życie, postaciach, których już sama zewnętrżność pokazywała, jak wielkim trudem jest ta podejmowana zapewne codziennie poranna wędrówka do świątyni. Dostrzegłem tę skupioną wytężoną modlitwę i myślałem, ile łask dla najbliższych, dla dzieci i wnuków ona wyprosiła. Wzruszyłem się także, modląc się w towarzystwie ludzi młodych, będących jawnym zaprzeczeniem zgoła fałszywego i upraszczającego wszystkie te sprawy potocznego wyobrażenia religijności i dewocji. I zawstydziłem się swojego niedowiarstwa i chęci poprawiania piórem tego, co należy do spraw modlitwy i stosunku każdego do Boga.

Takie były losy tego niedokończonego felietonu z zakończeniem wymuszonym o siódmej rano.

Kazimierz Sikora

Kronika



10 czerwca – W tym dniu ks. biskup Jan Szkołoń udzielił święceń diakonatu i prezbiteriatu. O godz. 9³⁰ asysta razem z ks. biskupem i kandydatami do święceń wyruszyła z budynku Wyższego Seminarium w procesji do naszej świątyni na sprawowanie obrzędu święceń i Eucharystii.

11 czerwca – Uroczystość Zesłania Ducha Świętego kończąca Okres Wielkiej Nocy – czasu Spowiedzi i Komunii św. Wielkanocnej.

18 czerwca – Uroczystość Najśw. Ciała i Krwi Pańskiej – Boże Ciało. Zwyczajem naszej wiary i ojców naszych wyruszyliśmy w procesji Eucharystycznej na ulice Bronowic, aby wyznaczyć naszą wiarę w Obecność Syna Bożego pod postaciami Ciała i Krwi Pańskiej.

6 sierpnia – Wyruszyła dwudziesta Krakowska Piesza Pielgrzymka do Częstochowy (jak ten czas leci?!). „Wytrwali” pielgrzymi z naszej parafii podążali do Matki Bożej we franciszkańskiej grupie „siódmej”, którą poprowadził w tym roku o. Tomasz i wikary parafii.

15 sierpnia – Uroczystość Wniebowzięcia N.M. Panny – Matki Bożej Zielnej. W tym tak bardzo polskim święcie przynosimy do naszych świątyń owoce ziemi, plony, kwiaty i zioła. Dziękujemy Bogu za tegoroczne zbiory.

10 września – ks. Kardynał Franciszek Macharski zaprosił do Kalwarii Zebrzydowskiej rodziny naszej krakowskiej archidiecezji. Ks. Kardynał w swojej homilii zwrócił uwagę na sześć znaków łaski Roku Jubileu-

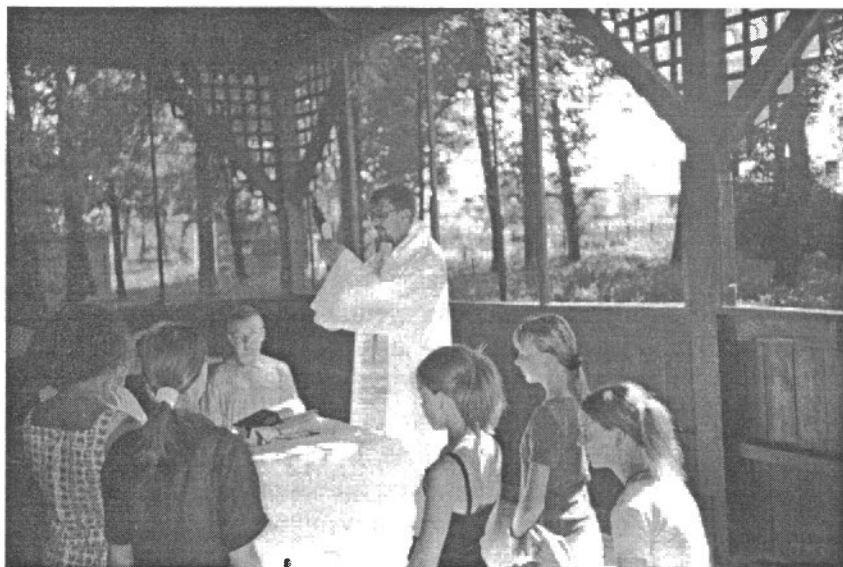
szowego: Drzwi Święte, odpust, oczyszczenie pamięci, miłość wobec ubogich i pamięć o męczennikach. Te znaki wzywają nas do pielgrzymowania, do przejścia ze zła do dobra, do rachunku sumienia, do modlitwy za wstawiennictwem świętych. Na zakończenie Eucharystii zostały podane do ucałowania relikwie świętych polskich: św. Stanisława, św. Jadwigi, św. brata Alberta, św. siostry Faustyny, św. Jana Kantego, bł. Szymona z Lipnicy.

Do grona dzieci Bożych przez Sakrament Chrztu św. zostali włączeni: Przemysław Adam Roman (11.06.2000 r.), Dawid Daniel Gil (10.06.2000 r.), Grzegorz Piotr Zięba (17.06.2000 r.), Maria Aniela Tabol (6.08.2000 r.), Natalia Anna Brózda (3.09.2000 r.).

Sakrament małżeństwa zawarli: Agnieszka Magdalena Wiertek i Witold Stefan Poręba (12.08.2000 r.), Beata Urszula Konik i Maciej Krzysztof Tyrała (26.08.2000 r.), Beata Iwona Bert i Adam Arkadiusz Lisik (2.09.2000 r.), Beata Agnieszka Marona i Artur Jacek Wójcik (9.09.2000 r.), Marta Elżbieta Szperlak i Artur Stanisław Filek (16.09.2000 r.), Danuta Krystyna Zięba i Sławomir Stanisław Bobak (23.09.2000 r.).

Do wieczności odeszli: Stanisław Grzegorzczyk (3.06.2000 r.), Maria Ryś (2.06.2000 r.), Aniela Pacura (15.07.2000 r.), Marian Kościelnicki (15.07.2000 r.), Helena Wydra (23.07.2000 r.), Kazimierz Kupiec (27.07.2000 r.), Leszek Jarosz (25.08.2000 r.).

Przygotował
o. Jacek Koman



Oaza Dzieci na wakacjach w Roztoce – Wspólna Eucharystia

Skład Redakcji: Beata Chochół (red. techniczny), Adam Fałowski, Ryszard Gurbel (red. odpowiedzialny), Kazimierz Sikora

Adres do korespondencji: Ryszard Gurbel: 31-344 Kraków, ul. Ojcowska 18 (lub bezpośrednio na adres Kościoła: ul. Ojcowska 1)